

HELENA CHRÓŚCIEWICZ-FILIPOWICZ

ur. 1928; Wilczy Przewóz



Miejsce i czas wydarzeń	Nałęczów, PRL, współczesność
Słowa kluczowe	Nałęczów, szkoła, praca z młodzieżą, młodzież w internacie

Praca z młodzieżą szkolną

Kiedyś była lekcja biologii. Uczeń był nieprzygotowany – ja nie wiedziałam przecież o tym - i wzywam go [do odpowiedzi], akurat jego. No, on wstaje. To było na temat budowy [organizmów], a to dla nich potrzebne. Akurat było o ptakach. Ja go pytam: „Słuchaj, ty mi teraz omów, jak zbudowany jest ptak.” On wstaje i tak się kreci, kręci, widocznie uczniowie podpowiadali mu i mówi tak: „No, głowa... ptak ma głowę...” I tam mu coś podpowiadali, i coś mu pokazywali, bo potem mi to opowiedziano. Ja mówię: „No, dobrze, ma głowę i teraz zacznij od głowy i mów po kolei”. A on mówi: „No... dziób”. Ja na to: „No, dobrze, ma dziób, a potem, co?” – „A potem, to... To ma... wymię!”. Bo jedna tam dziewczynka widocznie pokazywała mu tak tutaj, a on nie rozumiał, że ona mówi „wole”, tylko, że „wymię”. Cała klasa śmiała się. Już nic nie można było z nimi zrobić, bo był jeden śmiech. Później ja to opowiedziałam w pokoju nauczycielskim, mówię: „No, był nieprzygotowany i musiałam postawić niedostateczny”. I każdy nauczyciel, co przychodził na lekcje później, czy tam polski, czy chemia, fizyka, to pytał: „Słuchaj, Drozd, powiedz nam, jak to było z tym wymieniem u ptaka?”. I takie było śmieszne to wszystko, ale to była młodzież przecież też taka różna, taka biedna. Płakali często, dziewczynki szczególnie płakały. Miałam też parę godzin w internacie. Wszystko brałam, co tylko mogłam i co mi dawali. Brałam, no, bo trzeba było od nowa zaczynać wszystko przecież. Nie mieliśmy nic. Kompletnie. Nie mieliśmy – jak zawsze mówiłam – igły nawet, żeby sobie coś zaszyć, jak wtedy uciekliśmy i przyjechaliśmy do Nałęczowa. Na początku, po zakończeniu wojny te pierwsze [roczniki], ci pierwsi uczniowie, którzy przychodzili, to mieli bardzo różny wiek. Bardzo wielu w różnych szkołach, nie tylko w plastycznej - to byli czasem ludzie dorośli. Zachowywali się tak bardzo spokojnie. Ja pamiętam, że w plastycznej był taki pan. On chyba nie był z Nałęczowa, dopiero później [został] mieszkańcem Nałęczowa, jeszcze żyje, tylko podobno nic nie słyszy. Był żonaty, miał dziecko i przyszedł tam do tej pierwszej klasy. Więc nawet tacy uczniowie byli. Potem już ten wiek się ustalił, ale ta młodzież, to byli ludzie, którzy chcieli się uczyć. Na

początku i potem też. Oni pragnęli się uczyć, żeby być potem kimś - w miarę możliwości. Bo dużo zależało od rodziców, od tego, jak są sytuowani. Na przykład, kiedy ja przyszedłam pracować, to bardzo dużo młodzieży w ogóle było nie z Nałęczowa. Jedna, dwie osoby z Nałęczowa [w klasie], a nawet były takie klasy, że z Nałęczowa nie było nikogo, tylko z całej Polski. Z Poznania, z Wrocławia, z takich odległych i takich mniejszych miejscowości. Oni bardzo tęsknili za domem. Nie byli przygotowani na to takie inne trochę życie. Pamiętam, jak zaczęłam w internacie pracować. Dostałam tam parę dyżurów w godzinach popołudniowych. Kiedyś jedna z uczennic mówi do mnie tak: „Pani profesor, jak te dziewczyny nasze tęsknią za domem”. Ja mówię: „A skąd ty wiesz?” – „Bo jak pani profesor zgasi światło o dziesiątej, no i poczeka trochę, jak już wszyscy niby śpią, jak wyczują, czy patrzą, że pani profesor odchodzi, to wtedy wszyscy w poduszkę i płaczą”. Mówi: „Chłopcy, to nie wiemy, ale też tęsknią”. Bo obok w innym budynku był internat dla chłopców, a dwa budynki, to były dziewczęta. Tam na dole, gdzie teraz jest przystanek busów, tam w tamtych trzech willach był internat. No i mówi: „Płaczą, tak tęsknią za domem, a dziewczęta szczególnie.” Potem przychodzę na dyżur, to już w tym nowym internacie, na naukę własną. Po południu [uczniowie mieli] wolne godziny, potem dwie godziny uczyli się, a nauczyciel pełnił dyżur, i to się nazywało nauka własna. Ja przychodzę na ten dyżur, a jedna [uczennica] mówi tak: „Pani profesor, a ta Gosia uciekła”. - „Gdzie uciekła?” – „A ubrała się i powiedziała, że ona tak tęskni, że jedzie do domu. I poszła już na dworzec”. A ona była gdzieś tam [z okolic Łodzi], jej rodzice mieszkali za Łodzią jeszcze. Ja mówię: „To dlaczego wcześniej mnie nie zawiadomiliście. Nie wolno tak robić, jak jej się coś stanie, to cała szkoła będzie odpowiadać. Dwie ubierać się i biegiem na dworzec! Przyprowadźcie tę Gosie do mnie, ja z nią porozmawiam”. No, złapały ją jeszcze, na szczęście. Jeszcze pociągu nie było, całe szczęście. Przyprowadzili zapłakana. Ja mówię: „Słuchaj Gosiu, ty się uspokój, a później porozmawiamy. Trzeba było mi powiedzieć. Nie wolno tak robić, bo ja jestem za was odpowiedzialna i cała szkoła, i dyrekcja. Do więzienia by nas wsadzili, że myśmy tego nie dopilnowali wszyscy”. No i tak. Trzeba było z nią rozmawiać, ona się popłakała, no i później też trzeba było jej wytłumaczyć wszystko, że tak nie wolno robić. Taka to była opieka. Bo to była młodzież z takich odległych miejscowości, [to zupełnie, co innego] jak przyjść do szkoły tylko z Nałęczowa, więc trzeba było zupełnie inaczej postępować z nimi.

Data i miejsce nagrania	2017-01-27, Nałęczów
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Agnieszka Piasecka
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"